

Bona. Królowa z rodu Sforzów. Tom 3

JA, KRÓLOWA



RENATA
CZARNECKA

RENATA CZARNECKA

JA, KRÓLOWA

BONA. KRÓLOWA
Z RODU SFORZÓW
TOM 3



Copyright © 2025 by Renata Czarnecka

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

KOREKTA: Aleksandra Zok-Smoła

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

ZDJĘCIE AUTORKI: Wojciech Ciszewicz

SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-237-2

EAN: 9788384122372

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-238-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Marcin Kośka

Spis treści

TABLICA POTOMKÓW SFORZÓW I JAGIELLONÓW

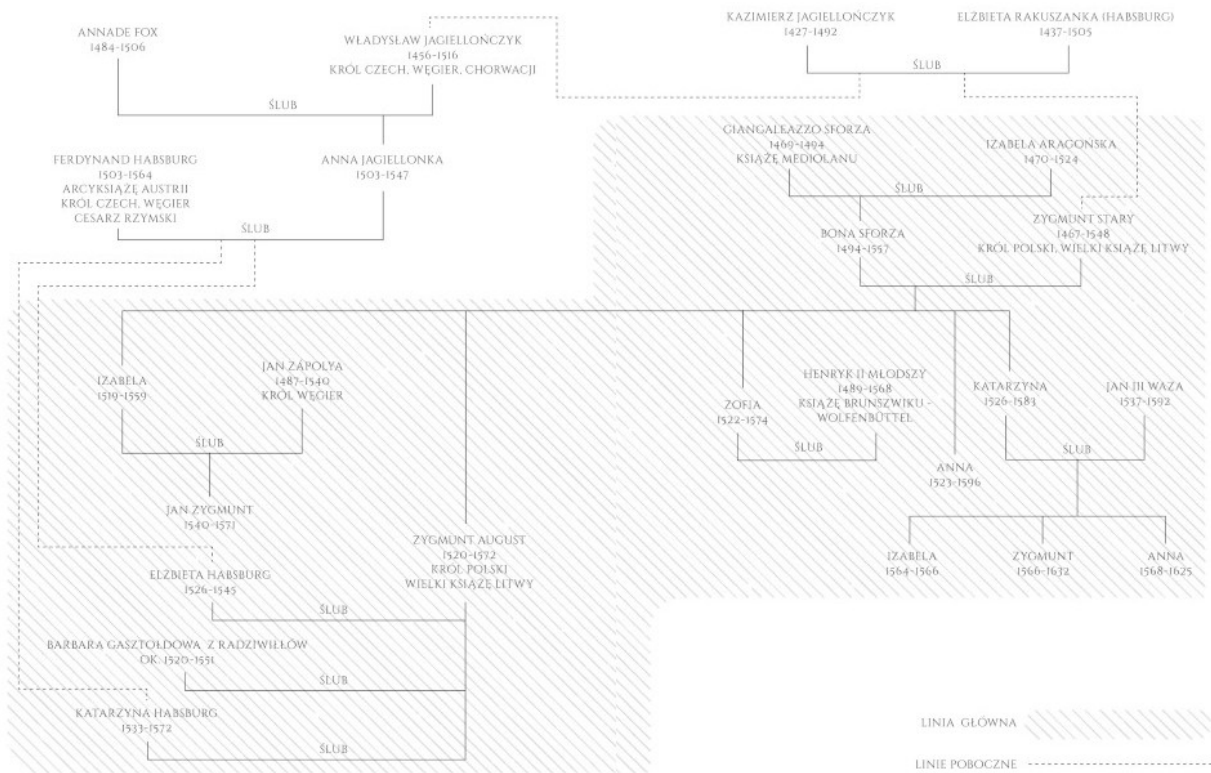
ROZDZIAŁ 1. ZŁOTE KRÓLESTWO

ROZDZIAŁ 2. TRUDNE ROZSTANIA

ROZDZIAŁ 3. MIŁOŚĆ POGRZEBANA W BARI

ROZDZIAŁ 4. CÓRKI NIE SĄ DAREM NIEBIOS

TABLICA POTOMKÓW SFORZÓW I JAGIELLONÓW



ROZDZIAŁ 1

ZŁOTE KRÓLESTWO

- Ma twarz anioła.
- I duszę diablicy.
- Król nie będzie miał łatwego życia.

Głosy dochodziły z tłumu, ściszone, ostrożne albo nazbyt śmiałe.

Młodzi dworzanie króla spoglądali na Bonę Sforzę, która klęczała przed ołtarzem na klęczniku wyścielonym purpurową poduszką. Równie chętnym okiem spozierali na jej damy dworu, zerkające na boki, ubrane w suknie błyszczące od klejnotów.

– Świętoszki. Spójrzcie, jak łypią na nas oczami – rzekł Stanisław Maciejowski, młody sekretarz kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego. Nie był urodziwy, damy nie wodziły za nim zalotnymi spojrzeniami. Może dlatego nieraz odpłacał im chłodem, wiedząc, że w pojedynku o ich miłość zawsze przegra z młodszym bratem, Samuelem, który stał nieopodal, popatrywał na Włoszki i nie omieszkał dorzucić swoich trzech groszy:

- Niejedna z nich warta grzechu.

Samuel przeczesał palcami burzę szarych włosów i utkwiał wzrok w jasnowłosej Dianie, której niebieskie źrenice błyszczały wesołością, a jej

uśmiech tak go zniewolił, że nie mógł oderwać od niej oczu. Diana spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

– Święte dziewice – zakpił Stanisław Górski, który najpierw służył na dworze biskupa Piotra Tomickiego, a teraz zasilił szeregi sekretarzy królewskich.

– Włoskie ladacznice – rzucił z pogardą Mikołaj Nipszyc, trzydziestoletni sekretarz króla.

– O królowej powiesz to samo, panie Nipszyc? – wtrącił Jan Koszyrski.
– Jest Włoszką.

Spojrzeni na Mikołaja ciekawi, co odpowie.

– Powiem więcej! Mówią, że przywiozła z Italii luźną pochwę i truciznę – odparł.

Powiało grozą. Nikt nie poważyłby się na taki osąd, uznając go za plotkę niegodną chrześcijańskich ust. Nagle Mikołaj Nipszyc poczuł czyjeś ręce zaciskające się na jego ramieniu i ujrzał wykrzywioną złością twarz Hannibala Lanckorońskiego, jednego z ulubionych dworzan króla Zygmunta.

– Kto tak mówi? – wycedził Hannibal.

– Spokój, panowie – napomniał ich Jan Koszyrski. – Chcecie tutaj burdy? W katedrze? To profanacja!

Już zwrócono na nich uwagę. Powędrowały w ich stronę ciekawskie spojrzenia. Hannibal spasował i oswobodził sekretarza. Koszyrski stanął pomiędzy zwaśnionymi i rzekł pojednawczo:

– Zresztą, o co kruszyć kopię? Jutro noc poślubna. Zobaczymy, czy damy pokażą skrwawione prześcieradło.

– Rozejdźmy się! Patrzą na nas – napomniał ich Stanisław Górski, a w tym momencie śpiew chóru runął na katedrę i zdusił ludzkie głosy. Wpatrywały się w nich pełne niepokoju oczy marszałka wielkiego

koronnego Stanisława Chodeckiego i marszałka nadwornego Stanisława Jarockiego.

Lepiej było nie kusić losu, zakłócenie porządku w miejscu pobytu króla groziło sądem marszałkowskim i nie kończyło się dobrze dla tych, którzy wszczynali burdy.

Ktoś ujął Bonę pod łokcie i pomógł jej wstać. Zerknęła na boki. Prosper Colonna oraz Kazimierz Hohenzollern, margrabia Brandenburgii, poprowadzili ją do tronu. Bona, w koronie królowych lśniącej od rubinów, szmaragdów i pereł, weszła na stopnie i zajęła miejsce na tronie, przy królu. Setki oczu wpatrywały się w monarchinię. Pośród nich natknęła się na spojrzenie księżnej Anny z Radziwiłłów, butnej pani na Mazowszu, rodzicielki piastowskich książąt, Janusza i Stanisława, którzy niczym pisklęta tkwili pod jej skrzydłami. Jej troska była jak lodowaty wichur smagający ich dorodne sylwetki. Unikali jej spojrzeń w obawie, że przeniknie ich myśli i dostrzeże w młodzieńczych oczach tłącą się iskrę buntu i wolnej woli. Obok księżnej stały córki: Anna i Zofia. Obie smutne i wylęknione. Nagle powiew targnął płomieniami świec, przetoczył się przez katedrę i Bona poczuła dochodzący z niedaleka zapach świeżej żywicy i wilgotnego mchu. Instynktownie zwróciła w bok głowę, szukając tego, kto tę woń roztaczał. Patrzył na nią tak przenikliwie, że poczuła się naga pod jego spojrzeniami, a jednak nie chciała oddać mu pola. Jej oczy nie uciekły płochliwie, nie spoczęły na świętych obrazach. Tymczasem kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, równolatek króla, również nie zamierzał uciekać jak spłoszony ptak. Bona prześlizgnęła się po jego sylwetce. Bogate szaty, w jakie był odziany, dodawały splendoru jego postaci, a posepny wyraz oczu przyprawiał o drżenie serca. *Co się kryje pod tymi spojrzeniami, powściągliwymi gestami, jakie myśli zaprzętają głowę kanclerza, którego król ma za przyjaciela, teraz, gdy patrzy na żonę swego*

pana i swoją królową? Bona poczuła ciepły uścisk dłoni króla. Jego uśmiech miał jej dodać odwagi. Wyczytała to w jego oczach. Ale nie lękała się niczego. Przybyła do tego odległego kraju, by tutaj władać, by wespół z małżonkiem rządzić ogromnym królestwem. Cofnęła się pamięcią do trudnej i długiej podróży do Polski. Dni w deszczu i śniegu oraz lodowaty wichler nadwątlili jej siły. Obludzone stoki Alp lśniły w zdradliwym słońcu.

Przeprawa przez górskie przełęcze i rozwścieczone potoki omal nie pochłonęła kilku istnień. Królowa i jej damy jechały na mułach, których kopyta ślizgały się po mokrych skalnych traktach albo grzęzły w błocie.

Po tygodniach podróży ujrzano Wiedeń, potem Śląsk, gdzie na królową oczekiwali tamtejsi książęta, by poprowadzić ją do Krakowa.

Z biegiem dni słońce świeciło coraz mocniej. Bona i jej damy grzały się w jego ciepłe. Wreszcie postawiła stopę na polskiej ziemi. Zadziwił ją ten olbrzymi kraj. Przemierzając Śląsk i Małopolskę, mijala miasta porozrzucane na olbrzymich połaciach ziemi, słabo zaludnione, jakże inne od miast italskich. Zachwyciły ją lasy ciągnące się w nieskończoność, bezkresne łąki i pola. Jeszcze nie doświadczyła przenikliwego chłodu mroźnych zim i nie posmakowała cierpkich owoców tej ziemi. Czuła, że to jest jej królestwo.

Po koronacji, przy biciu w dzwony, tłum wysypał się z katedry i podążył na zamek. Wypełnił wielką komnatę jadalną, której ściany udrapowano jedwabiami. Służba wniosła dziczyznę, wszelakie dzikie ptactwo ozdobione piórami, ciasta oblane marcepanem i donosiła beczki wina.

Dygnitarze koronni wznosili toasty za królową. Wawel dawno nie był tak radosny, jak w tych kwietniowych dniach.

Wieczorem królowa, pełna wrażeń, odprowadzana przez dwórki, wróciła do komnat. Pora była już późna, więc baronowa Militello odesłała

damy dworu do łóżek. Bona musiała wypocząć przed kolejnym dniem. Nazajutrz ucztowano i tańczono skoczne tańce, a gdy zapadł zmierzch, królowa była już w alkierzu i przygotowywała się do nocy poślubnej. Stała przy kominku, czując buchające od niego ciepło. Ubrana w nocną koszulę, suszyła włosy przy ogniu. Podążała wzrokiem za damami dworu, które krzątały się po komnacie. Diana di Cordona, Beatrycze Roselli i Lukrecja Alifio chowały garderobę królowej do skrzyń. Izabela Aragońska zadbała, by w Polsce towarzyszyły córce damy z możliwych włoskich familii. Żadna z nich nie miała osiemnastu lat. Te spokojne chwile poprzedzające nadejście króla wywołały w Bonie wspomnienia. Gdy opadła euforia związana ze ślubem *per procura* w Neapolu i wyruszono w długą i trudną drogę do Polski, rozterki coraz natarczywiej oplatały jej myśli, dziesiątki pytań cisnęły się na usta, a niepokój napełnił serce po brzegi. Poślubiła starca. Oczami wyobraźni widziała siebie przy stękającym królu, którego będzie musiała zadowolić w łożu, a jeśli nie stanie się brzemienna, będzie to jej wina. W chorobie będzie go opatrywać, wysłuchiwać jego modlitw, żalów i skarg, znosić jego złe humory i dzień po dniu kroczyć drogą poświęcenia i wyrzeczeń, którym kres położy śmierć.

Tymczasem los sprawił jej miłą niespodziankę. Zamiast gnuśnego starca ujrzała postawnego, pełnego wigoru mężczyznę o wyprostowanej sylwetce. Powaga na jego obliczu brała górę jedynie w chwilach podniosłych, przy stole i w tańcu dawał upust energicznej naturze, ożywiał się w rozmowie, zarażał wesołością. Mogłaby powiedzieć, że spotkało ją szczęście. Brzdęk szkła, bardzo delikatny, zwrócił jej uwagę na stolik, przy którym skupiły się Polki. Bona nie wiedziała, co jest przyczyną takiego zgromadzenia, ale wkrótce to odkryła. Polki układały na stoliku grzebienie do czesania, wałki do włosów, a złote szpilki chowały do szkatuł. Z zaciekawieniem spoglądały na flakony perfum i popatrywały dyskretnie na królową.

Udawała, że niczego nie zauważyła, całkowicie pochłonięta suszeniem włosów.

– Chyba nie widziały na oczy pomad i pachnideł – rzekła Bona po włosku do baronowej Militello.

Ivetta, od lat wdowa, licząca sobie ponad trzydzieści lat, wydawała się księżnej Izabeli odpowiednią osobą na stanowisko matrony. Bona miała w pamięci obraz baronowej oddającej się igraszkom podczas uczyty w Neapolu i ilekroć na nią spoglądała, ów obraz stawał jej przed oczami. Ale od tamtego dnia minęło wiele lat. Ivetta nie jest już tą samą kobietą, choć jej uroda nadal budzi podziw. Na twarzy ma powagę, tylko w oczach co raz drga ta sama co dawniej wesołość, której zapewne nie zgasi nawet sędziwa starość. Baronowa poprawiła poduszki na zydlach ustawionych wokół łoża, by towarzyszący królowi dworzanie mogli na nich spocząć. Na uwagę królowej Ivetta z wyrozumiałością spojrzała na polskie damy i się uśmiechnęła. Tymczasem one już nie zwracały uwagi ani na królową, ani na jej matronę, zbyt zajęte skarbami, które monarchini przywiozła ze sobą z Italii. Roiło się tam od słoiczków z pomadami do ust, pudrami, henną, za pomocą której Bona nadawała włosom złocisty odcień. Perfumy w szklanych flakonach wykonanych przez rzemieślników z Murano, zdobione złotem przez najlepszych florenckich jubilerów, przyciągały pożądliwe spojrzenia dam. Bona ruszyła do stolika, a wtedy damy rozpięchły się jak wróble spłoszone nagłą obecnością kota.

– Portio! Podaj mi puzdro z pomadą – rzekła królowa do karlicy.

Portia wysunęła jedną z szuflad, po czym wyjęła białe puzdro i ochotczo podbiegła do królowej. Bona zdjęła nakrętkę, zanurzyła palec, po czym przeciągnęła nim po wargach. Pomada pokryła usta księżniczki delikatną czerwienią. Urszula Maciejowska, młodsza siostra Stanisława i Samuela,

bladolica rudowłosa piękność, uśmiechnęła się, a jej błękitne oczy rozbłysły zachwytem.

– Chcę podobać się królowi – powiedziała Bona. – Tej nocy i każdej kolejnej. Chcę, by nie miał innej kobiety, zrobię wszystko, by kochał tylko mnie.

Urszula szeroko otworzyła oczy, obserwowała wargi królowej, pragnąc zrozumieć jej słowa, i powtórzyła po włosku to, co zdołała zapamiętać:

– *Voglio piacere al re*¹.

Twarcz Bony ochłodziła i w tym momencie uśmiech zniknął z oblicza Urszuli. Przestraszyła się, że palnęła jakieś głupstwo.

Bona tymczasem, obróciwszy wszystko w żart, rzekła do baronowej:

– Szybko się uczy. Trzeba na nią uważać.

Potem sięgnęła po szklany flakonik ze złotym korkiem, który chwilę wcześniej wzbudził wielkie zainteresowanie Anny Górki, filigranowej szatynki podobnej do matki, Katarzyny, która sprawowała urząd ochmistrzyni dworu królowej i jako jedyna dama jej dworu znała włoski. Bona wyjęła korek, który zawisł na złotym łańcuszku przytwierdzonym do flakonu, i ujęła dłoń Anny. Dziewczyna spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Pachnidło – powiedziała królowa i wylała kilka kropel na rękaw jej sukni, tuż przy nadgarstku.

Anna przytknęła dłoń do nosa, a wtedy zapach ją oszołomił.

– Prezent od Lukrecji Borgii – rzekła królowa.

Bona nie dostrzegła iskry lęku, jaka nagle rozpalila się w źrenicach dziewczyny na wspomnienie owej damy, gdyż jej uwagę zwrócił głos pani Górki, która weszła, by oznajmić, że król już się zbliża.

– Kto jest z królem? – spytała Bona.

– Margrabia Brandenburgii, ksiądz Dantyszek, marszałek Jarocki... – wylizowała dwórka.

– A moi krajanie? – dopytywała Bona.

– Również, pani.

– Kto?

– Signor Alifio, signor Colonna, kardynał d’Este...

– Ach. – Z ust Bony wyrwało się ciężkie westchnienie, którego przyczyny ochmistrzyń nie zrozumiała. – Wuj w żartach bywa nieznośny – oświadczyła, obawiając się jego towarzystwa.

– Nie posunie się za daleko – uspokoiła ją baronowa.

Pukanie przerwało rozmowy. Damy półkolem otoczyły królową. Katarzyna Górka poszła otworzyć, a wtedy w półmroku antykamery błysnęły ciekawskie oczy zagląających do środka. Naraz zamigotało białe światło lampionu kołyszącego się w rękach paza przystrojonego w srebrzysty kaftan. Chłopiec uklonił się królowej i odstąpił na bok. Dopiero wtedy Bona ujrzała sylwetkę króla wyłaniającą się z ciemności. Przyszedł do niej jedynie w kaftanie, spod którego wystawała biała jedwabna koszula, i w krótkich watowanych spodniach podkreślających muskularne uda. Lekkość ubioru i rozrzucone na ramionach włosy odjęły mu lat. Zatrzymał się i przypatrywał królowej.

Bona prześlizgnęła się wzrokiem po postaci męża od stóp do głów, a widząc na jego stopach wielkie krowie pyski², uśmiechnęła się, ledwo zdusiwszy rozbawienie. Jego długie, szczupłe łydki wyglądały w nich zabawnie. Zygmunt spojrzał w dół, też się roześmiał, a potem rzekł:

– Następnym razem przyjdę w niedźwiedzich łapach³, by ujrzeć cię tak rozweseloną, jak w tej chwili, pani.

Bona uśmiechnęła się, ale gdy ujrzała kardynała wychylającego się zza pleców Zygmunta, jej twarz spoważniała.

– Wasza wysokość, za sprawą tej oto dziewicy czeka cię wiele rozkoszy, lecz ty, pani – napomniął Bonę Hipolit d’Este – pamiętaj, by wziąć tyle samo.

Kardynał puścił oko do krewniaczki, a wtedy Bona się speszyła. Dostrzegła na ustach króla pocieszający uśmiech. Naraz ukłoniła się małżonkowi i odstąpiła na bok, tym samym dała mu wolną drogę do komnaty. Ruszył śmiało. Dopiero wtedy do pokoju weszła jego świta. Królowa zajęła miejsce po jednej stronie łoża zasłanego brokatową pościelą. Damy dworu przysiadły na zydlach. Król usiadł po drugiej stronie, zaś dworzanie zajęli miejsca w pobliżu. W rękach Lukrecji Alifio rozbrzmiała lutnia i zrobiło się wesoło. Tylko kanclerz Szydłowiecki zdawał się nie podzielać tej radosnej atmosfery. Bona dostrzegła, że z natury jest mrukiem, i dziwiła się, że dochrapał się tak wysokiego urzędu u boku króla. Baronowa Militello dała znak, by paziowie wnieśli kandyzowane owoce, słodkie daktyle i małmazję w kielichach. Zygmunt podał kielich królowej. Małmazja chlusnęła z barwionych czar w toaście na cześć króla i królowej. Bona zanurzyła usta w winie. Trunek uderzył jej do głowy, rozпалиł policzki i rozgrzał skórę. Zapach piżma zmieszał się z zapachem lawendowego olejku, którym nasączono knoty świec. W powietrzu unosiła się woń miłości i pożądania. Rozległy się szepty pomiędzy damami dworu i królową, jakieś żarty pośród dworzan króla, śmiechy, wesołość. Hipolit d’Este skinął na pazią. Chłopiec pochylił się z tacą, a wtedy usta kardynała otarły się o jego policzek. Duchowny sięgnął po kielich i posłał paziowi pożądliwe spojrzenie. Mijały kwadranse wesołej zabawy, z czasem dworzan zaczęło ubywać, zniknęli paziowie. Kardynał z przykrością stwierdził, że został sam, więc pora się wynosić.

Z nieskrywanym żalem odstawił kielich na stolik. Pokłonił się królowej, wyprostował i zerkając na Zygmunta, szepnął jej do ucha:

– Zazdrość mu.

D’Este wyszedł i zostali sami. W milczeniu popatrywali na siebie.

– Co ci powiedział? – odezwał się wreszcie Zygmunt. – Kardynał...

W pierwszej chwili królowa zamierzała zbyć pytanie jakimś niewinnym kłamstwem, lecz przypomniała sobie, że przecież wczoraj przyjęła komunię świętą, więc nie chciała skalać duszy choćby najlżejszym łgarstwem.

– Nic ważnego – powiedziała wymijająco.

– Zapewne macie z wujem swoje tajemnice – stwierdził żartobliwie.

– Żadnych, panie – zapewniła z powagą.

Tym pytaniem wzbudził w niej popłoch i lęk. Czyż jego słowa nie sugerują jakichś rodzinnych konszachtów i spisków za jego plecami? To na starcie nie rokowałoby dobrych stosunków między małżonkami.

Król uśmiechnął się, nie przywiązując najmniejszej wagi do tego, o czym przed chwilą rozprawiali. Omiótł żonę wzrokiem. Z rozpuszczonymi włosami, bez ciężkich sukien i klejnotów, w zwiewnej koszuli ozdobionej perłami i haftem – jakże była daleka od tej, którą poślubił. Podobała mu się jeszcze bardziej niż tam, w katedrze. Ujął jej dłoń i przyciągnął do siebie. Położyła głowę na poduszce, włosy rozsypały się w nieładzie i ujrzała nad sobą rozpromienioną twarz Zygmunta, a w jego oczach pożądanie. Poczula na ustach jego gorące pocałunki. Zamknęła oczy. Pod powiekami zamajaczyła twarz jej pierwszej miłości – Hektora Pignatellego.

O poranku do alkierza królowej wślizgnęły się damy dworu. Bona już nie spała. Król niedawno od niej wyszedł. Jeszcze czuła ciepło pościeli,

w której spał, a nozdrza wypełniał zapach korzeni, którymi pachniała jego skóra.

– Wejdźcie – zachęciła damy i odrzuciła pierzynę, by oddać się w ich ręce. Poczwała chłód. Nie cierpiała porannego ubierania, gdy w piecach dawno wygasło i komnata była wyziębiona, tym bardziej dzisiejszego poranka, kiedy chwytiała wymowne spojrzenia dam dworu oraz ich tajemnicze uśmiechy. Wiedziała, co im chodzi po głowie, o co chciałyby spytać. *Dobrze, że milczą*, mówiły jej oczy. A gdyby spytały? Co by im odpowiedziała? Że tej nocy po raz drugi pękło jej serce, choć król wyszedł od niej zadowolony i jeszcze bardziej w niej rozkochany? Ona wie, że miłości do małżonka będzie musiała uczyć się każdego dnia i każdej nocy, rok po roku, i może kiedyś go pokocha. Na pewno nie taką miłością, jaką kochała Pignatellogo.

Dotyk chłodnych rąk baronowej wyrwał królową z zamyślenia. Ivetta zapięła naszyjnik na szyi Bony, potem pochyliła się ku niej i szepnęła jej do ucha:

– Teraz będzie już łatwiej.

Królowa ujrzała w lustrze jej pocieszający uśmiech i wymowne spojrzenie. Odpowiedziała uśmiechem bardziej wymuszonym niż radosnym.

Baronowa wycofała się, ustępując miejsca ochmistrzyni, po czym skinęła na Reginę Kościelską. Dziewczyna podała matronie nakrycie głowy. Brudna zieleń nie pasowała do niebieskich oczu mediolańskiej księżniczki, więc pani Górka oddała Reginie kapelusz i wzięła od niej niebieski, ze strusimi piórami. Przed oczyma Bony przemknęła twarz dziewczyny. Królowa uśmiechnęła się i rzekła po włosku:

– Jest piękna. Po kim wzięła urodę?

Katarzyna Górka pochwyciła spojrzenie królowej, które powędrowało za damą dworu. A jednak zdało się Bonie, że ochmistrzyni nie wie, o kim ona mówi.

– Signorina Regina – dodała królowa i dostrzegła zmieszanie w oczach pani Górki. – Widziałam jej matkę, lecz nie jest ona tak wielkiej urody jak córka. Zatem musi być podobna do ojca. Jak dawno umarł?

Katarzyna włożyła na głowę Bony kapelusz i pochyliwszy się dyskretnie do jej ucha, powiedziała cicho:

– Nie powiedziano wam prawdy, najjaśniejsza pani.

– Prawdy? A jaka jest prawda?

– To król jest ojcem Reginy.

Z twarzy Bony zniknął beztroski uśmiech. Królowa milczała, czuła na sobie natarczywe spojrzenie pani Górki, ale gdy na nią spojrzała, ochmistrzyni uciekła wzrokiem. Bona przygryzła wargi. Nikt nie powiedział jej prawdy, zapewne uznawszy, że to nie ma znaczenia. Nikt nie liczył się z jej uczuciami. Ona zaś, zgadzając się na małżeństwo z polskim królem, nie pytała, nawet jej przez głowę nie przemknęło, że król ma dzieci z nieprawego łoża.

– Wyjdźcie! – rozkazała Bona.

Pani Górka skinieniem odesłała damy dworu.

– To jedyny bękart króla? – spytała, gdy zostały same.

– Nie, pani.

Zapadła cisza.

– Kto jeszcze? – odezwała się Bona po dłuższej chwili. Jej głos drżał lekko, serce nie było gotowe na kolejny cios. A jednak chciała znać całą prawdę.

– Katarzyna, siostra Reginy, i ich brat, Jan z Książąt Litewskich. Wszyscy z jednej matki. Jan, kanonik krakowski, dotąd nie przyjął święceń. Zwleka...

– Dlaczego?

– Król liczy na to, że uda się wyswatać go z którąś z mazowieckich księżniczek.

– Mazowsze miałoby się dostać bękartowi? – Bona nie kryła oburzenia.

– Pani, żyją przecież książęta mazowieccy, Janusz i Stanisław, a Jan jest z nieprawego łoża.

Bona się zamyśliła. Zapamiętała panią Kościelecką, która wraz z innymi damami, między innymi z kanclerzową Zofią Szydłowiecką, witała ją pod Krakowem. Teraz w duszy królowej zakiełkował niepokój. Więż, jaka połączyła kochankę z królem, zdała jej się niebezpieczna, lecz za silniejszą i bardziej niebezpieczną uznała nić wiążącą ojca z dziećmi, to krew z krwi.

Jak pozbyć się syna, którego strzeże czujne królewskie oko, a ojcowska troskliwość nie pozwoli, by stała mu się krzywda? I czy ten syn nie stanie się kiedyś zawadą na drodze do władzy?

– To żadna przeszkoda. Czyż w Italii bękarty nie zasiadają na tronach królestw i księstw? – odezwała się wreszcie.

– Tak, pani, w Italii, ale nie tutaj – odparła zdecydowanie Katarzyna Górka.

Jednak słowa ochmistrzyni nie uspokoiły królowej. Bona wiedziała, że najpewniejszym sposobem pozbycia się bękartów jest sakrament małżeństwa albo kapłaństwa.

Królowa przejrzała się w lustrze. Ubrana w niebieską suknię szamerowaną grubymi pasami złotogłowiu, w naszyjniku, który dodawał blasku jej postaci, przeszła do sąsiedniej komnaty, gdzie oczekiwał

podskarbi Mikołaj Szydłowiecki. Za nią podążyły damy dworu. Przystąpiwszy próg, ujrzała kłaniającego się jej czterdziestolatka w długim płaszczu bramowanym futrem gronostajowym. Za podskarbis stało kilku paziów z wielkimi szkatułami. Szydłowiecki zbliżył się i przemówił po łacinie, deklamując wiersz na cześć monarchini, w którym wychwalał jej cnoty i urodę. Bona z uwagą wysłuchiwała oracji. Odkąd znalazła się na polskiej ziemi, w każdym mieście witano ją długimi przemowami. Uzbroidła się w cierpliwość, traktując to jako obowiązkowy, choć nużący rytuał. Znudzone damy dworu popatrywały na podskarbiego, dyskretnie ziewając, ale wyraźnie się ożywiły, gdy paziowie otwarli przed królową szkatuły pełne biżuterii zdobionej rubinami, perłami i diamentami. Zaciekawiona Bona spojrzała do szkatuł i podziękowała za hojność. Nie były to jednak wszystkie podarunki od króla. Naraz na znak podskarbiego kilku dworzan wniosło grube bele tkanin. Królowa ujrzała kosmaty złotogłów, aksamit przetykany złotem i najcieńsze jedwabie. Zachwyciła się. Gdy podskarbi wyszedł, aby przekazać królowi Zygmuntowi podziękowania od królowej, Bona pozwoliła damom dworu obejrzeć podarki.

– Król jest bardzo hojny – orzekła baronowa, obserwując dziewczęta rozwijające materiały i delikatnie muskające palcami ich powierzchnię.

– To prawda – zgodziła się Bona i powiedziała z uśmiechem: – Ale czyż w zamian nie wziął o wiele więcej?

– Jego wysokość wziął to, czego nie można już zwrócić – przyznała Ivetta.

Nagle od strony drzwi rozległ się piskliwy dziecięcy głos:

– Mama! Mama!

Bona odwróciła się i ujrzała biegnącą w jej stronę trzyletnią królową Annę. W oczach królowej błysnęło zdziwienie, zrozumiała bowiem, że dziewczynka wzięła ją za swoją matkę. Anna stanęła przed macochą,

a wtedy Bona pochyliła się nad nią i rzekła zakłopotana: – *Non sono tua madre*⁴.

Dziewczynka nic nie rozumiała, ale jej twarz rozjaśnił wesoły uśmiech.

– Wybacz, najjaśniejsza pani – rzekła zażenowana tą sytuacją ochmistrzyni dworu królewien, pani Komorowska, i kategorycznie przywołała królową do siebie. Anna nie posłuchała. Uczepiła się sukni macochy i wspięła na palce. Patrząc na Bonę błagalnym wzrokiem, prosiła:

– Weź mnie na ręce, weź.

Królowa rozumiała te wyciągnięte w błagalnym geście ramiona i się zawahała. W końcu podniosła dziewczynkę. Anna oplótła szyję macochy ramionami, po czym ujęła w drobne palce szafiry nanizane na złoty łańcuszek i powiedziała do królowej:

– Jesteś ładna i dobra.

Bona wymownie spojrzała na panią Górkę.

– Królowa polubiła waszą wysokość – rzekła ochmistrzyni.

– Co powiedziała? Dosłownie – dopytywała się.

– Jesteś ładna i dobra.

Bona roześmiała się i powtórzyła po polsku, lecz nie bez trudu.

– Ładna i dobra.

Potem ucałowała policzek Anny, gdy naraz dostrzegła wlepione w nią oczy sześciolatniej Jadwigi. Królowa postawiła Annę i zbliżywszy się, spytała Jadwigę:

– Pamiętasz swoją matkę, Barbarę z Zapolyów?

Ochmistrzyni przetłumaczyła jej pytanie. Królowa widziała, jak oczy królowej przeskakują to na panią Górkę, to znowu na nią. Na wspomnienie matki twarz królowej się ożywiła, a w jej źrenicach błysnęła czujność.

– Nie, macocho – odparła.

Bona poczuła chłód tego słowa. Widziała powagę na twarzy dziecka zamkniętego w skorupie etykiety. Pragnęłaby stać się jej bliższa, lecz wzrok Jadwigi wyraźnie wytyczał granicę. Oczy ostrzegały, by jej nie przekraczać, a jednak Bona zaryzykowała. Pochyliła się nad dziewczynką i pogładziwszy jej głowę, powiedziała:

– Mówią, że jesteś do niej podobna.

Jadwiga cofnęła głowę. Królowa zrozumiała ten gest. Wycofała się i uśmiechnęła do pasierbicy, starając się zatrzeć zakłopotanie, po czym zwróciła się do Katarzyny Górki:

– Każ zabrać królewny.

Pani Komorowska chwyciła dłoń Anny i skłoniła się królowej. To samo uczyniła królowa, po czym skierowały się do korytarza. Jadwiga podążyła za ochmistrzynią i po chwili zrównała się z Anną. W progu młodsza królowa odwróciła się, posłała Bonie radosny uśmiech i pomachała jej ręką na pożegnanie. Naraz z antykamery dobiegły dziecięce głosy.

– To nie jest nasza matka. Mów do królowej „macocho” – instruowała Jadwiga.

– Dlaczego? – spytała piskliwym głosem Anna.

– Bo tak wypada.

1 Chcę podobać się królowi (wł.)

2 Obuwie męskie.

3 Gra słów.

4 Nie jestem twoją matką (wł.)

ROZDZIAŁ 2

TRUDNE ROZSTANIA

– Signor, powiedz mojej matce, że jestem szczęśliwa. – Głos Bony zadźwięczał tęsknotą za przeszłością, a przecież pragnęła od niej uciec i tutaj, na tej ziemi, zacząć nowe życie. Odgarnęła kosmyki włosów z twarzy, ale silny majowy wiatr znowu je potargał.

Prosper Colonna i kardynał Hipolit d’Este szykowali się w drogę do Italii. Prosper uklonił się, wyprostował i popatrzył na królową baczным wzrokiem. Dostrzegła w jego oczach hart ducha, którego nie ujarzmiły lata. Naraz przez jego śniadą twarz przemknął uśmiech i powiedział:

– To widać, pani... Ale powtórzę.

Bona uśmiechnęła się, po czym skierowała do wuja, któremu przyprowadzono osiodłanego konia. Stanął przy nim i poprawił mu strzemię.

– Kardynale... – Usłyszał jej głos i się odwrócił. – Wspomniałeś, że odwiedzisz Ferrarę.

– Tak – potwierdził.

– Mam do was gorącą prośbę.

– Spełnię każdą – zapewnił zarliwie.

Królowa wsunęła dłoń do małej aksamitnej torebki umocowanej do pasa sukni i wyciągnęła list, po czym wręczając go duchownemu, powiedziała:

– Przekaż ten list księżnej Lukrecji.

– Oczywiście.

– I jeśli to możliwe, przyślij mi kilku młodych kastratów, będą śpiewem rozpraszać moją tęsknotę za Italią.

Po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy smutek. Każdego dnia widywał ją wesołą i rozbawioną. Pamięta, jak okłaskiwała rycerzy stojących w szranki na kopie na zamkowym dziedzińcu. Gdziekolwiek się pojawiła, tam roztaczała czar, a młodzież do niej lgnęła. Dotąd żadna władczyni takim ogniem nie rozpałała Wawelu. Pamięta jej zamyślane spojrzenie, gdy poeci prześcigali się w wysławianiu jej cnót. Posyłała im przychylne spojrzenia, z taką samą uwagą słuchając strof Andrzeja Krzyckiego, jak i swego ziomka, Antonia Carmignaniego, któremu powierzyła swój skarbiec.

– Wybiorę najlepszych – zapewnił i wskoczył na konia. Wicher zaszeleścił jego luźnymi szatami, a czerwien płaszcz niczym krwawa luna przesłoniła Bonie niebo. Nagle z krużganków huknęła wesoła wrzawa. Bona, damy dworu, i kardynał skierowali tam wzrok. Ze schodów pędził na łeb na szyję młodzieniec odziany jedynie w buty z ostrogami i pelerynę, która szarpana wiatrem odsłoniła gołe ciało. Był to Hannibal Lanckoroński, za którym sadył susy Jan Koszyrski, ubrany podobnie jak jego towarzysz. Królowa nic z tego nie rozumiała.

– On jest nagi – zachichotała Portia i przyłożyła pulchną dłoń do ust, próbując zdusić śmiech.

– Hannibalu! – rozległo się wołanie.

Bona uniosła głowę i ujrzała Andrzeja Krzyckiego wychylającego się z krużganków.

– Pamiętaj, że postawiłem na ciebie beczkę najlepszego węgrzyna!

– Już jest twoja! – odkrzyknął młodzieniec, ani na moment nie zwalniając. Dosiadł konia i pognął w stronę bramy, niemal czując na plecach oddech Koszyrskiego i spojrzenia rozweselonych widowiskiem gapiów.

Kardynał wpatrywał się w młodzieńców, nie mogąc dobyć z siebie głosu.

Wreszcie, nieco ochłonawszy, rzekł:

– Cóż to było?

Zażenowana królowa opuściła oczy. Hipolit roześmiał się i rzucił rozbawiony:

– Ech, Polacy! Będę miał o czym opowiadać w Ferrarze. Lukrecja Borgia chyba mi nie uwierzy.

Skinął głową w stronę królowej i pognął za Polakami, jakby zamierzał ich dogonić. Za nim galopem puściła się jego świta. Królowa spoglądała za nimi tak długo, aż zniknęli jej z oczu, po czym zawróciła do zamku.

W korytarzu odesłała dwórki i weszła do komnaty króla. Zygmunt pochylał się nad stołem, przy którym siedzieli Krzysztof Szydłowiecki, jego brat Mikołaj i kasztelan poznański Łukasz Górka, mąż ochmistrzyni jej dworu. Rozprawiali o czymś, ale gdy weszła, rozmowy ucichły. Urzędnicy pokłonili się królowej. Dopiero wtedy Zygmunt się odwrócił i dostrzegł żonę. Zobaczywszy w jej oczach wzburzenie, oddalił urzędników i już otworzył usta, by spytać, co się stało, lecz go uprzedziła.

– Twoi dworzanie, panie... – rzekła.

– Moi dworzanie? Cóż takiego zrobili? Dokuczyli ci? – spytał z niepokojem.

– Mnie? Nie, panie. Ale dwóch ludzi dosiadło koni i opuściło Wawel... Byli nadzy. – Te słowa ledwo przeszły jej przez gardło.

– Całkiem nadzy? – spytał rozbawiony król. – Nie wierzę.

– Mieli na sobie peleryny i buty z ostrogami, ale czyż można to nazwać odzieniem...

– Więc jednak nie byli nadzy – sprostował.

Rozsierdził ją jego spokój. Dostrzegł gniew w jej oczach i pragnąc go zgasić, powiedział:

– To tylko żarty.

– Które naruszają dobre obyczaje – odparła.

– Taki jest ich cel.

– Pochwalasz to, panie?

– Drwią z etykiety, wyszydzą hipokryzję. Piętnują świętoszkowość i dostarczają dworowi uciechy. Należą do Bractwa Opilców i Oźralców, zresztą za moją aprobatą, i w gruncie rzeczy nie robią nic złego.

Chciała coś powiedzieć, ale pocałunkiem zamknął jej usta, po czym rzekł:

– No, nie dąsaj się już, pani, jesteś piękniejsza z uśmiechem na ustach. I jeśli tak ci zależy, napomnę ich. Zresztą mamy teraz inny kłopot.

– Jaki kłopot? – Zmieniła ton. Jej głos stał się łagodniejszy.

– Marszałek Jarocki się rozchorował.

– Biedaczyna... A nie tak dawno tańczył na naszym weselu – skwitowała.

– Zapomniał, że ma swoje lata, i nadwyrężył siły.

Przez głowę Bony przemknęła nagle myśl.

– Należy więc zatroszczyć się o niego... Obiecuj, panie, że nie wybierzesz nikogo bez mojej aprobaty – odezwała się.

– Twojej aprobaty? – powtórzył, nie bardzo rozumiejąc, co ma na myśli.

– Tak. Jak powiedziałaś, pan Jarocki ma swoje lata, trzeba liczyć się z tym, że umrze, choć oczywiście, niech Bóg da mu długie życie. – Bona pocałowała męża w policzek i dodała: – Nie będę ci przeszkadzać, widziałam, że masz jakąś naradę.

– W takim razie do wieczora – odparł.

Uśmiechnęła się obiecująco i wyszła. Rozmyślała o tym, co jej powiedział. Jeśli Jarocki umrze, urząd się opróżni, warto zatem obsadzić go swoim człowiekiem.

Nadszedł wieczór. Zygmunt przyszedł do alkierza żony. Noc spędzili razem, a o poranku, gdy opuszczał jej łóżko, Bona była pełna nadziei, że poczęli następcę tronu. Wkrótce do komnaty weszły damy dworu, by ubrać królową. Baronowa Militello kazała wyjąć z kufra kilka sukien, by Bona mogła wybrać, którą chce włożyć. Królowa prześlizgiwała się wzrokiem po cienkich jedwabiach i aksamitach zdobionych grubym złotym haftem i się wahała.

Ivetta dostrzegła to i skwitowała:

– Wasza wysokość przywiozła ze sobą tak wiele wspaniałych sukien, że trudno się zdecydować.

– To prawda – przyznała Bona. – Zatem zdecyduj za mnie.

Baronowa wybrała kremową suknię szamerowaną niebieskimi pasami połyskującej tafty. Gdy królowa się ubrała, Lukrecja Alifio podała jej szkatułę pełną klejnotów. Bona wybierała naszyjnik, kiedy pojawiła się pani Górka.

– Najjaśniejsza pani, dworzanin od króla z podarkami – rzekła.

– Jestem ciekawa, czym jego wysokość dziś mnie obdaruje – powiedziała Bona, po czym kazała wpuścić posłańca i zaraz w lustrze ujrzała zawstydzone spojrzenia dwórek. Odwróciła się. W progu stał

Hannibal Lanckoroński i kłaniał się królowej. W milczeniu zmierzyła go chłodnym wzrokiem, tymczasem za nim weszli karlica i karzeł.

– Najjaśniejsza pani, król ofiarowuje wam parę karłów dla umilenia czasu – oznajmił.

Hannibal dostrzegł jej nieprzychylnie spojrzenie i pokłonił się, gotów odejść, gdy nieoczekiwanie go zatrzymała.

– Signor Lanckoroński...

Spojrzał na nią wyczekująco.

– Wczoraj zgorszyłeś damy mego dworu. W Italii to nie do pomyślenia – rzekła.

– Wybacz, pani – odparł. Jego głos był spokojny, a w oczach nie było żadnej skruchy. To ją rozzłościło i dodała:

– Polska to barbarzyński kraj.

– Jesteś jego królową, miłościwa pani – odparł cierpko.

Bona przygryzła wargi. Dotknął ją tymi słowami. Odprawiła go zdecydowanym gestem ręki.

– Pani, Lanckoroński to ulubieniec króla – rzekła pani Górka.

– Mojej przychylności nigdy nie zdobędzie! – rzuciła gniewnie, ale gdy spojrzała na karłów, rozpogodziła się. Zbliżyła się do nich i zwróciła do karlicy: – Krwawisz?

Zawstydzona dziewczynka spuściła wzrok.

– Odpowiedz! – rozkazała.

Karlica potaknęła nieśmiało. Ucieszyło to królową, która rzekła do ochmistrzyni:

– Signora, daj im wspólną komnatę.

Katarzyna zawahała się, jakby nie zrozumiała intencji królowej.

– Chcę, aby się rozmnażały – wyjaśniła Bona bez ogródek.

Na to na twarzy pani Górki odbiło się zażenowanie.

Królowa dostrzegła to i rzekła zirytowana:

– O co chodzi? Czy potrzebują ślubu, by ze sobą żyć? Dobrze, poproszę papieża. Jego Świątobliwość gotów ożenić koguta z kurą, wystarczy pokazać mu złote dukaty.

Śmiech Portii spowodował, że Bona odwróciła się w jej stronę, a gdy wbiła w nią lodowate spojrzenie, dwórka umilkła. Wówczas królowa spojrzała na przybyszów i rzekła:

– Dziś zaczynacie nowe życie na Wawelu. Nie liczy się wasza przeszłość.

Znaczenie ma tylko to, co teraz i co jutro. Fiametta i Barnaba. Od dziś to są wasze imiona.

ROZDZIAŁ 3

MIŁOŚĆ POGRZEBANA

W BARI

Bona czuła na policzkach ciepło czerwcowego słońca. Jego promienie przenikały przez okienne szyby. Spojrzała w dół, tam, gdzie rozpościerał się ogród. Dochodziły z niego radosne dziecięce głosy. Królowy Jadwiga i Anna bawiły się pod opieką niań. Bona z przyjemnością chłoneła te obrazy i wspominała własne dzieciństwo, gdy bawiła się w ogrodzie pałacu d'Arengo ze swą starszą siostrą Hipolitą. Gdy spoglądała na dziewczynki, jej usta składały się w uśmiech, lecz nagle jej twarz zasnuł jakiś cień, a głęboka bruzda przecięła czoło.

– Pan Jarocki umarł, a marszałkostwo nadworne nie może długo być puste – rzekła, odwracając twarz od okna.

Mikołaj Wolski, marszałek dworu królowej, postawny mężczyzna w dojrzałym wieku, odparł:

– Król już się o to postara, pani.

Jego odpowiedź zasiała w niej niepokój.

– Czyżby już komuś obiecał?... – Wbiła w niego podejrzliwe spojrzenie.

– Nie, pani – uspokoił ją.

– Chciałabym mieć na tym urzędzie swojego człowieka – rzekła.

– Włocha? – wykrztusił, gdyż ta myśl go przeraziła, i nie czekając na odpowiedź królowej, jakby chciał ją uprzedzić, rzekł zdecydowanie: – To niemożliwe, pani.

– Nie myślę o moim krajanie. Co byś powiedział, gdyby to miejsce dostał pan Kmita?

Wolski nie krył zaskoczenia.

– Nie jest już co prawda młody, ale zasługi ma mniejsze niż jego wuj.

– Wuj? – powtórzyła.

– Jan Tarnowski.

– Kmita jest od niego znacznie starszy – zauważyła Bona.

– Tak, ale to Tarnowski prowadzi zaciężnych przeciw Moskalom i ordom tatarskim. Kmita nie dorównuje mu ani siłą charakteru, ani odwagą.

– Chcesz powiedzieć, że Tarnowski bardziej zasługuje na ten urząd? – Uważnie mu się przyglądała, jakby chciała przeniknąć jego myśli.

– Tak, lecz go nie przyjmie.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Ma naturę wojskowego, nie znosi zakotwiczenia w miejscu.

Bona zamyśliła się, po czym zdecydowała:

– Zatem Kmita. Damy mu coś na wyrost, w ten sposób zaskarbimy sobie jego dozgonną wdzięczność.

– Trudno będzie przekonać króla – rzekł marszałek, choć nie odmówił jej racji.

– Pomożesz mi w tym.

– Jeśli chcecie, pani, dobrego orędownika tej sprawy, zwróćcie się do prymasa Jana Łaskiego. Nie ścierpi na urządzie marszałka nadwornego człowieka przychylnego Habsburgom i zrobi wszystko, by przeforsować kandydaturę, którą wy wysuniecie, bo wie, że skoro on ich nie cierpi, to wy, najjaśniejsza pani, najchętniej widzielibyście ich w piekle.

Uśmiechnęła się na te słowa i zaraz spytała:

– Co do Łaskiego, ma on na wydaniu siostrzenicę, czyż nie?

Wolski spojrział na nią uważnie, próbując dociec, do czego zmierza.

– Trzeba znaleźć jej męża – oświadczyła.

– Pomyślę o kimś godnym, pani.

Podeszła do niego i wbiwszy w niego wzrok, rzekła:

– Może ty, signor Wolski? Któż byłby bardziej godny od ciebie?

Nie mógł wykrztusić z siebie słowa, tak zaskoczyła go szybkość, z jaką działa.

– Pora ci się żenić – ponagliła go dobrodusznie.

– Rozważę to – odparł, a pukanie do drzwi wybawiło go z kłopotliwego położenia.

– Byle prędko – dodała.

Dworzanin oddalił się, ocierając zroszone potem czoło. Ludwik Alifio, który minął się z nim w progu, dostrzegł bladość na twarzy marszałka dworu i powiedział półzartem do królowej:

– Marszałek wyszedł stąd blady, jakby ktoś nakarmił go trucizną.

Królowa się roześmiała.

– Ach, mężczyźni! Polujecie na kobiety niczym na łanie, a gdy same pchają się wam w ręce, czmychacie jak spłoszona zwierzyna.

– Nie rozumiem, wasza wysokość.

– Chcę go ożenić – wyjawiała.

Ludwik zaniemówił.

– Z kim, pani?

– Z siostrzenicą Łaskiego. Ty również zbladłeś, Ludwiku – powiedziała rozbawiona.

– No cóż, pani, jestem zaskoczony.

– Nie bardziej niż biedny pan Wolski – stwierdziła i przeszła do sedna – Z czym przychodzisz?

– List z Watykanu – odparł i podał jej zalakowany papier.

Bona spiesznie sięgnęła po pismo i zaczęła czytać. Jej oczy zachłannie biegały po kartce papieru.

– Papież nadał mi prawo obsadzenia piętnastu stanowisk katedralnych. Rozumiesz, co to dla nas znaczy, Ludwiku? – wybuchła radością.

Alifio zaniemówił oszołomiony nowiną.

– Doprawdy, błogosławię Medyceusza, nigdy nie był tak wielkoduszny – rzekła, chodząc wokół masywnego stołu.

– Wygląda na to, że biskup wileński umarł w samą porę⁵. Kto na tym skorzysta? – Alifio spojrział na Bonę, ciekaw odpowiedzi.

– Jan z Książąt Litewskich.

Ludwik wybałuszył oczy.

– Najwyższa pora, aby bękart króla przyjął święcenia – rzekła zdecydowanie. – Zobaczysz, prędko wyprawimy Jana do Wilna, a potem wydamy za mąż jego siostry.

Minęło kilka tygodni. Pogodne popołudnie królowa spędzała w ogrodzie, spacerując z Katarzyną Górką. To właśnie tu, z dala od komnat,

Bona załatwiała sprawy, które pragnęła zachować w tajemnicy.

– Myślałaś o zamążpójściu Anny, signora? – Głos królowej brzmiał łagodnie pośród śpiewu ptaków, które gromadnie obsiadły wysoki żywopłot.

Ochmistrzyni spojrzała na królową. Bona nie dostrzegła niepokoju, jaki zasnuł dotąd beztroskie oblicze kasztelanowej. Oczywiście, że nieraz o tym myślała, w końcu Anna już teraz mogłaby wyjść za mąż, ale Górkowie nie dadzą córki byle komu. To ród majątny, z wysoką pozycją, senatorski. Bona popatrzyła na spacerujące opodal dwórki. Widziała filigranową sylwetkę Anny Górkówny odzianą w jasną suknię. Brązowe włosy rozwiewał wiatr.

– Chciałabym, aby twoja córka poślubiła pana Kmitę – rzekła królowa.

Jej słowa, pozornie dające wybór, zabrzmiały w uszach Katarzyny jak rozkaz i ją zmroziły.

– Wiem, że jej ojciec ma wysoką pozycję, jest kasztelanem poznańskim, senatorem, gdy tymczasem pan Kmita jest tylko starostą przemyskim. – Bona zwróciła oczy na Katarzynę i spytała wprost: – A jeśli uczynię go marszałkiem nadwornym? Jeśli dam słowo, że u mego boku dorówna twemu mężowi?

Katarzyna przystanęła. Nie mogła ochłonać. Przyszłość córki malowana przez królową ukazała jej się w najwspanialszych barwach. Pani Górkowa widziała oddalającą się sylwetkę Bony. Naraz królowa się odwróciła.

– Rozważ to! Kmita dostanie ten urząd i miejsce w senacie – oświadczyła, a przez jej usta przemknął triumfalny uśmiech, jakby była pewna, że stanie się podług jej woli.

Naraz królowa dostrzegła kanonika krakowskiego. Jan z Książąt Litewskich rozejrzał się, a dostrzegłszy królową, przyspieszył. Nagle potknął się i upadł. Biret spadł mu z głowy. Bona ledwo powstrzymała

śmiej, tak niezdarny wydał jej się bękart króla. Jan podniósł biret, wcisnął go na głowę i ruszył ku niej.

– Przejdźmy się, kanoniku – zaproponowała, odesławszy ochmistrzynię, po czym dodała: – Zmarł biskup wileński Radziwiłł.

Milczał, jakby rozważał, co chciała przez to powiedzieć.

– To wielka strata dla Kościoła, miłościwa pani – wyraził ubolewanie i spojrzał na nią kątem oka. Zauważył, że ta śmierć wcale jej nie zmartwiła, oblicze królowej było rozpromienione.

– Ludzie odchodzą, na ich miejsce przychodzą nowi – kontynuowała Bona. – Bywa, że taka zmiana przynosi zaskakująco dobre owoce. – Naraz się zatrzymała i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała zdecydowanie: – Ty dostaniesz to biskupstwo.

Był zaskoczony i nie potrafił tego ukryć. Nowina spadła na niego jak grom z jasnego nieba i krzyżowała mu plany. Nigdy nie zamierzał przenosić się z Korony do kraju na pół pogańskiego, gdzie dotąd w gajach czci się bożki i tajemnie składa im ofiary. Zresztą, lubił przyjemne życie, które wolałby spędzić u boku jakiejś kobiety, i to najlepiej na Mazowszu.

– Nie spodziewałeś się – odezwała się wreszcie. – Musisz oswoić się z tą myślą. Wiem, że zasługujesz na to wyniesienie. Każdy chciałby być na twoim miejscu. Każdy – podkreśliła. – Ale tylko tobie ufam. Jesteś młody, zdrowy, masz przed sobą długie życie, możesz uczynić wiele dobrego dla Kościoła katolickiego. – Bona spoglądała na Jana wyczekująco. Coś jej się należało za hojność, choćby słowo wdzięczności, ale Jan milczał. Tymczasem wzrok królowej był natarczywy, kanonik ugiął się pod nim i w końcu rzekł:

– Zrobię wszystko, by odplacić wam za zaufanie, jakie we mnie pokładacie, miłościwa pani.

– A więc ruszaj w drogę, do Wilna – rzekła.

Szła ostrożnie, a mimo to słyszał delikatny trzask łamanych pod jej stopami gałązek. Na skraju lasu Bona się zatrzymała. Jej postać wtopiła się w zielen puszcy i dopiero gdy się poruszyła, załśniła jej szmaragdowa suknia. Król stanął za nią i zanurzył twarz w jej włosach. Pachniały lawendą. Zapraagnął nasycić się tą wonią, spragnione usta napoić pocałunkami jak winem. Jego pieśczozy ją rozczuliły. Od rana gnali po Puszczy Niepołomickiej, tropiąc zwierzynę. Wrzawa dworzan i ujadanie psów zostały gdzieś daleko za nimi. Nie słyszeli już nic, jedynie ciszę, a w niej szum drzew, spłoszoną w kniei zwierzynę, swoje oddechy i czułe słowa, jakby noc była zbyt krótka na miłosne wyznania.

Od przybycia Bony do Polski minęło kilka miesięcy, długich i pełnych wrażeń. Każdy dzień spędzała z królem, każdy wiązał ich coraz mocniej.

Czuła jego miłość i oddanie. Gotów był przychylić jej nieba. Uwielbienie, jakie jej okazywał, wzbudzało w Bonie dumę, a w dworzanach tajony niepokój. Zygmunt już nie potrafił bez niej żyć. Spragniony jej roześmianego oblicza i radości, jaką zarażała, pragnał być przy niej zawsze i nazywał ją swoim aniołem.

Bona rozchyliła gałązki. Smuga światła oblała jej oblicze. Spojrzała w dal, a w jej oczach roziskrzyła się euforia.

– Łuk, panie – powiedziała cicho, nie spuszczać oczu z dwóch łani pasących się na polanie, i wyciągnęła rękę. Zygmunt podał łuk i strzałę.

– Ciii... – Naciągnęła cięciwę, wycelowała, po czym wstrzymała oddech i wypuściła strzałę. Ostrze ugodziło sarnę celnie. Upadła. Druga, śmiertelnie przerażona, czmychnęła w knieję. Bona rozchyliła mocniej gałęzie i przedarłszy się przez gęstwinię, dotarła na polanę. Pochyliła się nad zwierzyną.

– Jest martwa! Każę kucharzowi przyrządzić z niej wyśmienity pasztet – rzekła.

Król zbliżył się. Pełen podziwu pochwycił Bonę wpół i przyciągnąwszy ją do siebie, pocałował w usta i spytał z podziwem:

– Kto cię nauczył takiej zręczności, pani? Może i mnie dałby kilka lekcji.

Bona zmieszała się, zsunęła jego dłonie i odstąpiła parę kroków. Odchyliła w bok głowę, by nie zobaczył nagłego smutku w jej oczach. Wspomnienie Hektora Pignatellogo było silniejsze od zdrowego rozsądku, silniejsze od rozkazu, który słyszała w swojej głowie: *Zapomnij o nim! Nie wracaj do tego! Co się stało, to się nie odstanie. Nie wskrzesisz umarłego. On nie żyje. Nie żyje!!!*

– Zabili go! – Usłyszała nagle swój krzyk rozdzierający ciszę.

Wystraszyła się go. Nieświadomie utkwiała głęboko w bolesnych wspomnieniach, jakby przeżywała tragedię po raz kolejny. Jej głos poniósł się echem po lesie, płosząc ptactwo. Ból, jaki król usłyszał w tym nagłym wybuchu rozpacz, zatrwożył go. W głowie Bony zahuczały słowa matki: „Jesteś czysta jak łza. Nikt temu nie zaprzeczy i nikt nie rzuci cienia na twą przeszłość, Bono. Nigdy nie dotknęły cię dłonie żadnego mężczyzny, usta twoje nieskalane pocałunkami, tak jak jego usta już milczące na wieki. Oddasz się tylko temu, któremu cię ofiarowałam. Spraw, by tylko ciebie kochał. Nie ma potężniejszej broni niż miłość i nienawiść. Ty wybierz miłość”.

– Zabili? Kto? – spytał Zygmunt, przyglądając się żonie z niepokojem.

Spojrzała na niego zmieszana. Z kłopotu wybawił ją odgłos myśliwskiego rogu i szczekanie psów, które poniosło się po okolicy.

– Szukają nas – powiedziała i ruszyła na skraj lasu, gdy z kniei wypadło kilku dworzan na koniach. Na przedzie galopował kanclerz Krzysztof

Szydłowiecki. Za nim pędzili Piotr Kmita, Mikołaj Wolski i Hannibal Lanckoroński. Bona posłała baczne spojrzenie kanclerzowi. Był zawsze i wszędzie tam, gdzie król, o każdej porze i każdego dnia. To on zawłaszczył całą uwagę Zygmunta, rok po roku przywiązywał go do siebie, podczas wspólnych polowań, wypraw wojennych, od lat młodości, gdy obaj przebywali na dworze króla Węgier w Budzie. Zdobył jego zaufanie i stał się powiernikiem.

Kanclerz popędził do króla, spieszenie zsiadł z konia, spojrzał bacznie na Zygmunta i spytał:

- Wasza miłość, wszystko w porządku?
- W najlepszym – zapewnił król.

Szydłowiecki dostrzegł martwą sarnę, zbliżył się do niej, pochylił nad zwierzyną i pochwalił:

- Piękna sztuka, gratuluję, panie.
- To trofeum królowej – sprostował monarcha.

Szydłowiecki skinął przed Boną głową i rzekł z uznaniem:

- Pani...

Spojrzała na niego przelotnie i rozkazała:

– Przyprawadźcie mi konia i zabierzcie zwierzynę, zanim psy ją rozszarpia.

Królowa skierowała się ku kniejom, ale nieustannie czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Odwróciła się. To kanclerz nie spuszczał z niej wzroku.

Stukot końskich kopyt na niepołomickim dziedzińcu przyciągnął uwagę dworzan i służby. Zlecieli się stajenni, by zabrać konie. Luca Crivelli, strzelisty czarnobrewy koniuszy królowej, już zsiadał z konia, by usłużyć Bonie, lecz uprzedził go marszałek nadworny Piotr Kmita. Stanął przy królowej, ona zaś roześmiała się, widząc ich obu.

Konkurowali ze sobą o jej uwagę. Teraz zmieszali się, czując się niepewnie, któremu z nich pozwoli sobie usłużyć.

– Pan Kmita – rzekła.

Marszałek, pękając z dumy, wyciągnął ręce, by ją zdjąć z klaczy. Bona dostrzegła triumf w jego oczach. Karmiła go swoimi łaskami, przychylnym spojrzeniem, a on sycił się nimi, wiedząc, że jego los zależy od niej. Gotów był pójść drogą, którą ona mu wytyczy.

– Signor Crivelli, nikt nie zadba lepiej o moją klacz niż ty – powiedziała do koniuszego, pragnąc dać mu dobre słowo, gdy od zamku ujrzała podążającą ku niej spieszenie ochmistrzynię.

– Pani, list z Bari, od księżnej Izabeli – rzekła pani Górkowa.

Ta wiadomość napełniła radością serce królowej. Od miesiący niecierpliwie wyczekiwała listu od matki. Spojrzała na małżonka, który właśnie zsiadał z konia i usłyszał nowinę.

– Idź, nie zwlekaj, czekałaś na wieści bardzo długo – powiedział.

Pobiegła do zamku jak na skrzydłach. Chwilę potem stała przy oknie i czytała list. Jej oczy zawilgotniały od łez. Wieści nie były dobre, ale jej matka potrafiła nieszczęście przekuć w korzystne zrządzenie losu.

Bono! Z bólem serca donoszę Wam, że królowa Joanna nie żyje. Umarła we śnie po obfitej kolacji. Widać nazbyt obfitej... I pomyśleć, że gdyby król Polski poślubił Twoją ciotkę, po raz drugi zostałby wdowcem. Tak więc widzisz, że to Opatrzność kieruje naszym losem. Należy z pokorą się jej poddać i przyjąć wszystko, co niesie życie. Królową Joannę zachowamy we wdzięcznej pamięci, tym wdzięczniejszej, że dziedziczą po niej skarby⁶, które zasilą kolejną ratę Twego posagu. Należy czym prędzej uruchomić procedurę przejęcia majątku.

Potrzebujemy bystrego dyplomaty, który tym się zajmie. Może ksiądz Dantyszek? Pomów o tym z królem, musimy działać. Signor Baioni, który przynosi ci ten list, pragnie pozostać u twego boku i służyć ci tak wiernie, jak służył królowej Joannie. Jeśli Twoją wolą jest, by pozostał w Krakowie, nie odprawiaj go.

Bona spojrzała na Landolfa. Przypomniała sobie ową noc, kiedy w przeddzień jej ślubu razem z Baionim i z królową Joanną wymknęli się z Castel Capuano, aby konno przemierzać Neapol. Jakaż była od niego radość, zawsze gdy był blisko Joanny. Teraz widziała tylko smutek i żal w jego oczach. Może umyślnie pragnął tu pozostać, by zapomnieć o stracie ukochanej.

– Kochałeś ją – przemówiła cichym głosem.

Milczał, ale dostrzegła, że potaknął.

– I chcesz zostać w Krakowie?

– Tak, miłościwa pani.

– Zgoda... Tylko czas uleczy twoje rany. Gdy się zbliznią, wtedy uwolnisz się od przeszłości.

Nieoczekiwanie grymas bólu wyłobził na czole Bony głęboką bruzdę. Landolfo poczuł kurczowy uścisk dłoni królowej. Bona zachwiała się i niemal osunęłaby się na podłogę, gdyby nie pochwycił jej w ostatniej chwili.

Położył ją na brokatowej pościeli i zawołał głosem nerwowym i donośnym:

– Baronowo!

Ivetta i pani Górkowa weszły razem. Ujrawszy królową w łóżu, a przy niej dworzanina, zaniepokoiły się.

– Z królową niedobrze – rzucił Landolfo i odstąpił od łoża. Pani Górkowa spojrzała z niepokojem na Bonę. Królowa była przytomna, ale niezwykła bladość, która wystąpiła na jej oblicze, mogła budzić obawy.

– Niedobrze mi – powiedziała Bona i wsparła się na łokciach. Nagle wstrząsnęły nią torsje. Ochmistrzyni sięgnęła pospiesznie po misę stojącą przy łożu i Bona chlusnęła wymiocinami, brudząc sobie suknię. Skwaśniała i gorzka woń rozeszła się po komnacie.

– Co dolega królowej? – spytał Landolfo.

– Chodźmy, signor, każę przygotować dla ciebie wygodną komnatę. Należy ci się odpoczynek po długiej podróży – powiedziała baronowa wymijająco i ze spokojem, który zadziwił Baioniego.

Dworzanin ruszył za nią i po chwili oboje zniknęli w antykamerze. Ivetta odesłała do królowej damy dworu i wyszła na korytarz.

– Złe wieści zaszkodziły królowej... – odezwał się Landolfo, był bardzo strapiony.

Baronowa przystanęła i spojrzała na niego z niepokojem.

– Jakie wieści?

– Królowa Joanna nie żyje – wyjąwił.

Ta nowina wywołała smutek na twarzy matrony, ale tak naprawdę poczuła ulgę.

– Niech jej dusza odpoczywa w pokoju... Ale mogę cię uspokoić, to z pewnością nie jest przyczyna zasłabnięcia królowej.

Landolfo spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie krwawi od trzech miesięcy – wyjaśniła.

Zmarszczył brwi. Próbował rozgryźć, co jej chodzi po głowie.

– Ach wy, mężczyźni... – skwitowała, posyłając mu pełne wyrozumiałości spojrzenie, i ruszyła przed siebie.

- Jest brzemienna? – Jego głos ją dogonił.
- Dama odwróciła się i poczekała na niego.
- Tak. – Uśmiechnęła się.
- Ta wiadomość ucieszy księżną Izabelę.
- Bez wątpienia – przyznała.

Tego dnia Bona nie wstała z łóżka. Zdrzemnęła się, a wieczorem zażyczyła sobie, by Lukrecja zagrała jej na lutni. Czyste dźwięki instrumentu wyzwoliły w królowej nostalgię. Bona westchnęła i wyrwawszy się z zadumy, pochwaliła damę dworu:

- Pięknie grasz, Lukrecjo.

Signorina Alifio przerwała i uśmiechnęła się w podzięcie.

– Nie przerywaj – poprosiła i spojrzała na damę dworu. Lubiała jej cichą, nienarzucającą się obecność i małomówność, która w Italii była oznaką nieśmiałości, tutaj zaś, w kraju nad Wisłą, uchodziła za cnotę. Bona wiedziała, że mężczyzna, który poślubi tę miłą dziewczynę, znajdzie u jej boku spokój, może nawet szczęście. Obok, na zydlach, siedziały karlice, gotowe w każdej chwili usłużyć królowej, i popatrywały po sobie z niechęcią, zazdrosne o jej uwagę. Urszula Maciejowska, Diana i Beatrycze pod okiem ochmistrzyni składały do skrzyń ubrania.

Wbrew prośbie królowej Lukrecja przerwała grę i odłożyła instrument na pobliskie krzesło, wstała i zwracając się w stronę drzwi, ukłoniła się. Dopiero teraz Bona dostrzegła, że kotara w przedsionku się uniosła i wszedł król. Skinieniem ręki odprawiła damy dworu, zatrzymując przy sobie jedynie Portię, której kazała dorzucić drew do kominka. Tymczasem król

usiadł na brzegu łoża i położył rękę na dłoni małżonki. Poczwała jego delikatny, a zarazem pełen otuchy uścisk.

– Już wiesz, panie? Powiedzieli ci? – spytała wyczekująco.

Potaknął.

– Chciałam to zrobić pierwsza – rzekła rozczarowana.

– Nie miej im tego za złe, dobre nowiny szybko się rozchodzą. – Pochylił się i ucałował jej usta.

– Ale jednego ci nie powiedzieli – oznajmiła Bona z powagą.

Na radosnym obliczu króla teraz pojawił się niepokój.

– Masz córki. Ja będę ci rodzić synów – oświadczyła z przekonaniem i zaraz zagaiła o księdza Dantyszka. Wspomniała o nagłej śmierci swojej ciotki Joanny.

Król zatroskał się, po czym rzekł:

– Każę odprawić modły za jej duszę i, oczywiście, jeśli tego pragniesz, ksiądz Dantyszek pojedzie na dwór cesarza.

Bona uśmiechnęła się i z wdzięcznością ucisnęła dłoń męża. Zajęta rozmową z królem, nie dostrzegła, że zasłona u drzwi delikatnie się poruszyła.

To Urszula Maciejowska, skryta za kotarą, przysłuchiwała się rozmowie małżonków, a teraz opuściła komnatę i podążyła korytarzem rozświetlonym pochodniami. W dali niewyraźnie rysowały się sylwetki dam dworu, lecz szybko rozproszyły się w mroku i korytarz opustoszał.

– Urszulo! – Usłyszała za sobą znajomy głos.

Obejrzała się. W mroku zamajaczyła krępa sylwetka jej brata, Stanisława.

Przystanęła i poczekała na niego.

– Co tutaj robisz? – spytała zaskoczona.

Zbliżył się i rozejrzawszy się dyskretnie, rzekł:

- Podobno królowa Joanna umarła.
- Umarła. To pewne wieści – potwierdziła dziewczyna.
- Jak królowa przyjęła tę wiadomość?
- W końcu doczeka się raty posagu – odparła.
- Kto wie, czy księżna Izabela nie przyłożyła ręki do tej śmierci – skwitował.

W oczach Urszuli dostrzegł oburzenie.

- Nie rób wielkich oczu – powiedział. – Za królową przybyła do Krakowa zła sława. Trucizna w rodzie Sforzów i Borgiów to nic nowego. A czyż ona nie jest jedną z nich?

Urszula struchlała. Trudno było nie przyznać mu racji. Królowa miała swoje tajemnice. Od chwili przybycia na Wawel chętniej rozmawiała z włoskimi damami dworu i to im powierzała najważniejsze sprawy, to im ufała, odsuwając na bok Polki, mimo że bardzo się starały służyć królowej jak najlepiej. Specyfiki, które przywiozła w szklanych flakonach, pełne biżuterii szkatuły z tajemnymi skrytkami, klejnoty o dziwacznych kształtach i sekretnych zamknięciach – to wszystko budziło wielką ciekawość, lecz jeszcze większą ostrożność.

- Pójdę już – rzekła Urszula i ruszyła przed siebie.
- Bądź ostrożna – przestrzegł ją, a jego głos grozą poniósł się po korytarzu.

Nadszedł październik. Wawel rozbrzmiał weselną muzyką. Regina Kościelecka zaślubiła w katedrze wawelskiej starostę chęcińskiego, pana Szafranca. Bona sprzyjała swatom i trzymała pieczę, by wszystko się

powiodło. Gdy mariaż został przypieczętowany, obdarowała swą damę dworu posagiem i życzyła jej synów. Potem wyprawiła ją do męża, do Pieskowej Skały.

Niebawem także marszałek Wolski się ożenił. Poślubił siostrzenicę prymasa. Wszystko szło po myśli królowej. Pośród codziennych spraw nadszedł grudzień. Śnieg okrył bezlistne korony drzew. Nastaly krótkie dni i długie, zimne noce, podczas których nie chciało się wyściubiać nosa spod pierzyny. W kominkach i piecach wygasało, a wtedy lodowaty ziąb wypełniał komnaty wawelskiego zamku.

Któregoś grudniowego wieczoru Bona wsłuchiwała się w śpiew chłopców ubranych w czerwone kaftany przetykane srebrną nicią. Ich głos przywoływał w wyobraźni obrazy upalnego italskiego lata, szum wiatru nad Adriatykiem, zapach oleandrów, ale i wygrzebywał z pamięci bolesne wspomnienia tułaczki i strachu. Bona położyła dłonie na sukni. Brzuch miała już ogromny, do rozwiązania został miesiąc, a dziecko ciągle w niej rosło. Rozpychało się, jakby żądało dla siebie większej przestrzeni. Nie, nie dziecko. Syn. Tak mówiła. Nasz syn. Nie dopuszczała do siebie myśli, że może urodzić córkę. Nie pytała astrologów, zawierzyła Bogu, każdego dnia do kierując do Niego żarliwe modlitwy. Była pewna i spokojna.

Spojrzała w okno. Mrok pobielał od śniegu. Przypomniała sobie zimy w Lombardii, chłodne, z mokrym śniegiem, a potem zimy w Bari – wietrzne, ciepłe i deszczowe.

Zima w Polsce miała niezrównany urok, jej piękna nie mogłyby odmalować żadne słowa. A mimo to królowa nie lubiła tego przenikliwego chłodu, który czuć było w zakamarkach komnat. Westchnęła głęboko i poczuła delikatny uścisk dłoni. Zwróciła twarz w stronę króla. Patrzył na nią z troską. Naraz pochylił się ku niej i spytał:

– Coś cię martwi, Bono?

– Myślę o Dantyszku – szepnęła. – Mam nadzieję, że już dotarł do Hiszpanii.

– Na pewno, a tymczasem kardynał d’Este sprawił, że zapomniałaś o tęsknocie – rzekł, patrząc na śpiewaków.

– Tylko na chwilę ją rozproszył – odparła.

– Musieli drogo kosztować.

– To prezent – sprostowała.

– Kardynał jest bardzo hojny – stwierdził z uznaniem.

– To nie on jest hojny, panie. Poprosiłam wuja, by wyszukał mi najlepszych kastratów, lecz to księżna Ferrary mi ich podarowała.

– A więc Lukrecji Borgii należy się uznanie – pochwalił i ucałował dłoń żony.

Bona uśmiechnęła się, po czym pochyliła do siedzącej u jej stóp Portii i powiedziała do niej coś półgłosem. Karlica skinęła głową, potem poderwała się na nogi i skierowała do drzwi. Damy i znaczniejsi urzędem dworzanie siedzieli na krzesłach wyściełanych ałasowymi poduszkami, młodszy i niższy rangą stali oparci o kolumny lub ściany przestronnej komnaty.

– Karlica królowej...

Goniły ją szepty. Portia czuła na sobie spojrzenia dworzan, przenikliwe i nieprzychylne.

– Dawniej służyła Katarzynie Sforzy – poniósł się szept.

– Posiadła wiele jej sekretów – zawtórował inny głos. – Pośród których najcenniejszym jest sporządzanie trucizn...

– Matka naszej królowej w niczym jej nie ustępuje.

Skierowano oczy na Stanisława Górskiego, królewskiego sekretarza.

– Co tak patrzycie z niedowierzaniem? Czyż to nie ona kazała otruć kochanków swego męża, księcia Giana Galeazza?

– To plotki! – skwitował ktoś.

– Pomówienia!

– Nikt w tej sztuce nie dorówna Lukrecji Borgii – wtrącił czyjś głos.

– Ładna rodzinka – podsumował Jan Koszyrski.

– Lepiej miejmy się na baczności – przestrzegł ktoś ze zgrozą w głosie.

Odwrócili się i ujrzeli pana Bojanowskiego, sekretarza króla.

Naraz siedząca nieco dalej Fiametta zsunęła się z krzesła, przyciągając wzrok dworzan.

– Królowej już nie wystarczają konie, psy i sokoły. Założyła hodowlę karłów... – Szept poniósł się pośród dworzan. Każdy chciał dorzucić swoje trzy grosze.

– Zamilknijcie...

Wlepiono oczy w młodą karlicę. Pod jej suknią sterczał wielki brzuch. Ubrana w lśniące jedwabie i aksamity, zdawała się największą ozdobą dworu królowej. Zbliżyła się do Bony, odrzuciła na ramiona złociste loki i spojrzała na królową wyczekująco. Bona pochyliła się nad karlicą, a wtedy Fiametta szepnęła jej coś do ucha. Królowa uśmiechnęła się przyzwalająco i dziewczyna usiadła u jej stóp, zajmując miejsce, które dotychczas należało do Portii.

Tymczasem Portia znalazła się w korytarzach. Gdzieś w dali niosły się kroki drobnych stóp, ale wnet ucichły i zapadła cisza. Karlica skierowała się do pokoi królowej. Trzewiki z miękkiej skóry nie wydawały żadnego odgłosu. Naraz ciszę zmącił chichot. Przystanęła i nasłuchiwała. Z niszy w pobliżu komnat Bony doszły ją szepty. Zaintrygowana, zbliżyła się ostrożnie, wychyliła głowę i jednym okiem zerknęła w niszę. Smuga światła pochodni wpadała do wnęki i Portia dostrzegła kontury postaci.

Wysoki mężczyzna, odziany w krótkie spodnie i ciemny kaftan, obmacywał jakąś kobietę. Dama przez moment przyzwalała na te czułości, ale jakiś niepokój nie pozwalał jej cieszyć się w pełni z chwili w ramionach młodzieńca i powiedziała:

– Muszę wracać. Królowa będzie się pieklić. Jeśli dostrzeże moją przeciągającą się nieobecność...

Karlica rozpoznała głos i zmarszczyła brwi. Cofnęła głowę. Jednak ciekawość zwyciężyła i dalej ich obserwowała.

– Zapomniała o bożym świecie – odparł rozgorączkowany. Jego ręka powędrowała pod jej suknię. Diana powstrzymała go, chwytając jego dłoń. Zrozumiał opór i się wycofał.

– Wiem, wiem... A jednak... Boję się – powiedziała i wysunęła się z ramion mężczyzny. Naraz na drugim końcu korytarza rozległy się szybkie kroki. Ktoś biegł. Portia oderwała się od wilgotnych murów i wycofała spłoszona. Chwilę potem przyspieszyła i zdyszana wpadła do komnat królowej. Płonący lampion dawał niewiele światła, a w powietrzu czuć było zapach stopionego wosku, niedawno bowiem pogaszono świece. Rozejrzała się i podeszła do komody. Wysunęła szufladę. Na jej dnie leżały wachlarze. Przebierała między nimi, sycąc oczy widokiem drobnych szmaragdów i różowych diamentów, którymi były ozdobione. To brała je do ręki z westchnieniem, to odkładała na miejsce i szperała dalej.

Uwielbiała te chwile, kiedy w samotności mogła cieszyć się wszystkim, co należało do królowej. Nagle ktoś gwałtownie wsunął szufladę, prawie przytrzaszkując jej palce, i karlica usłyszała nad sobą lodowaty głos:

– Co tu robisz?!

Portia uniosła głowę i ujrzała Dianę.

– Królowa posłała mnie po wachlarz – wyjaśniła.

Dziewczyna straciła pewność siebie, w jej oczach błysnął niepokój. Na usta cisnęły się pytania, ale uznała, że lepiej milczeć.

– A ty, gdzie się podziewałaś? – Karlica wlepiła w nią oczy.

Diana zakłopotała się. Wreszcie, nabrawszy pewności siebie, odgryzła się:

– Nie twoja rzecz! Weź go i wynocha!

Portia sięgnęła po wachlarz z kości słoniowej zdobiony koronką. Wyprostowała się i spojrzała triumfująco w oczy damy dworu, gotowa wykrzyknąć, że wszystko widziała, jednak się powstrzymała.

Wiedziała, że to, co zobaczyła, powinna przekazać królowej. Uśmiechnęła się chytrze, wyszła niespiesznie z komnaty i ruszyła długim korytarzem w drogę powrotną. Z każdym krokiem dochodził do niej coraz głośniejszy śpiew. Gdy otworzyła drzwi, zamarła. U stóp królowej siedziała Fiametta. Bufiaste rękawy jej sukni zdawały się przytłaczać jej niską, grubą sylwetkę. Gniew zapłonął w duszy Portii. Ziarno niechęci, zasiane w niej w dniu, w którym Fiametta przybyła na Wawel, zaczęło gwałtownie pęcznieć. Ona nie zniesie żadnej innej karlicy u boku królowej, żadna nigdy nie zajmie jej miejsca. Portia podeszła do Bony i rzekła:

– Pani...

Królowa pojęła wymowę jej głosu i pochyliła się ku niej, a wtedy karlica szepnęła jej coś do ucha. Twarz Bony ochłodziła. Zdawało się, że gdyby nie wpatrujące się w nią oczy dworzan, czujne i dociekliwe, królowa dałaby upust gniewowi, który tak gwałtownie się w niej rozpałił.

Zacisnęła wargi, wzięła wachlarz i pochwyciła wzrok Portii, który powędrował w stronę Fiametty. Królowa gestem odprawiła ciężarną karlicę. Fiametta podniosła się niechętnie. Już zdążyła przywyknąć, że królowa traktuje ją wyjątkowo i otacza szczególną troską, ubiera w najpiękniejsze suknie, nie skąpi dobrego jedzenia, a co więcej, nakazała Lukrecji Alifio,

aby nauczyła ją grać na lutni. Nieustannie rozpieszczana, teraz, gdy królowa ją odtrąciła, odczuła to jak policzek. Z pogardą spojrzała na rywalkę i ruszyła do przodu, nagle potknęła się i potoczyła ze stopni. Bona zmarszczyła czoło. Niepokój błysnął w jej oczach. Byłoby nieszczęściem, gdyby tak blisko porodu karlica miała stracić dziecko. Zduszony śmiech Portii zaakompaniował śpiewowi kastratów.

⁵ Albert Radziwiłł faktycznie zmarł rok później, w 1519 roku.

⁶ Po śmierci Izabeli prawo do dziedziczenia przeszło na Bonę.

ROZDZIAŁ 4

CÓRKI NIE SĄ DAREM NIEBIOS

– Czuję, że to już blisko, ojcze. Nogi mi spuchły. Za dnia czuję się senna... Jakże pragnę wypluć z siebie to brzemię, o które troszczyłam się przez wiele miesięcy, a które teraz ciąży mi niczym kamień i myśli czyni niespokojnymi.

Francesco Lismagnino przyjrzał się królowej. Na jej zaokrąglonej twarzy zobaczył cień niepokoju. Musiał przyznać, że mimo ciąży zachowała piękną gładką cerę, a jej złociste loki lśniły w styczniowym słońcu, które tego dnia wypełniało komnatę. Bona siedziała rozparta na krześle, z dłońmi położonymi na podłokietnikach, a pierścienie wrzynały się w spuchnięte palce. Pod grubą, luźną suknią sterczał ogromny brzuch. *Niewątpliwie poród nastąpi lada dzień, kto wie, może nawet tej nocy, pomyślał i powtórzył za nią:*

– Myśli czyni niespokojnymi?

Zwróciła na niego zatroskane spojrzenie. Był szczupły i niewysoki, ubrany we franciszkański habit przypominał ascetycznego mnicha. Księżna Izabela wybrała go na spowiednika, choć był od niej niewiele starszy.

– Tak, ojcze. Czyż kobiety nie umierają w połogu? – odrzekła i wyciągnawszy ku niemu ramię, poprosiła, by pomógł jej wstać. – Chcę się wyspowiadać i przyjąć komunię świętą. Proszę Boga, by pozwolił mi szczęśliwie urodzić syna.

– Bóg okazuje szczególną łaskę katolickim władczyniom, pani – rzekł. Bona zbliżyła się do klęcznika wysłanego purpurową poduszką.

– Wasza wysokość, nie musicie klękać. Bóg to zrozumie – powiedział.

– Nie, nie, ojcze – zaprotestowała. – Jak rzekłeś, jestem królową. Muszę być silna do końca. Pomóż mi.

Poczuł mocny uścisk jej dłoni. Uklęknął obok i czekał. Bona się przeżegnała.

– Moja matka szczęśliwie urodziła czworo dzieci. Tylko ja przeżyłam... Czemuż więc zamiast wdzięczności Bogu czuję do Niego żal? Czemuż moje serce pełne jest gniewu? Dlaczego miewam chwile zwątpienia w Jego miłosierdzie... – wyznała.

Poczuł ciężar jej słów i odparł:

– Porzućcie żal, miłościwa pani, i patrzcie tylko w przyszłość. Nie oglądajcie się za siebie i nie roztrząsajcie woli Bożej, gdyż umysł ludzki jest zbyt ułomny, by pojąć boskie zamiary.

Wbrew przypuszczeniom franciszkanina królowa nie urodziła tej nocy.

Minęło kilka dni. Późna pora nie wyciszyła dworu, nie zamknęły się podwoje prywatnych komnat, nie złożono głów w głębokim śnie, choć wybiła czwarta godzina styczniowej nocy. Z upływem czasu na Wawelu robiło się coraz bardziej nerwowo. W korytarzach rozbrzmiały spieszne kroki dworzan i służby. Spekulowano, kto dostanie dobrą nowinę, na której brzmienie zadzwięczą złote dukaty. Już od popołudnia, kiedy zaczęły się bóle porodowe, zakotłowało się w pobliżu komnat królowej. Co śmielsi zaglądali do antykamery, przestępowali z nogi na nogę, niecierpliwie

spoglądając na drzwi. Krzyki z komnaty się nasiliły. Mikołaj Nipszyc nadstawił ucha, prawie dotykając policzkiem drzwi. Gdy naraz po drugiej stronie zapadła cisza, wstrzymano oddechy. Otworły się drzwi i ochmistrzyni obwieściła:

– Królowna.

Satysfakcja błysnęła w oczach Nipszyca. Na to czekał.

– Jakie wieści? – Usłyszał głos zza pleców.

Obejrzał się. Hannibal Lanckoroński właśnie wszedł do antykamery.

– Królowi urodziła się córka – rzekł z satysfakcją, a uśmiech wykrzywił mu wargi. Nie zwlekając, wyszedł na korytarz. Hannibal spojrział za nim beznamiętnie i po chwili również on opuścił antykamerę. Skierował się do komnat króla, ale szedł niespiesznie. Nowina nie była tak pomyślna, jak oczekiwali. Gdy zakomunikował ją królowi, Zygmunt przyjął ją z pewnym rozczarowaniem, i choć bardzo starał się je ukryć, baczne oko Lanckorońskiego to wychwyciło. Podkomorzy Mikołaj Mniszech, widząc, że król szykuje się do wyjścia, zaproponował, by Zygmunt założył płaszcz, w korytarzach bowiem panują przeciągi. Władca zbył milczeniem tę uwagę i wyszedł. Wkrótce dotarł do komnaty żony. Od progu uderzyła go woń potu, krwi i moczu. Przystanął. Dostrzegł krzątające się po pokoju damy dworu, akuszerki i królową leżącą w łóżu, jakże inną od tej, którą poślubił i z którą zaznawał miłości prawie każdej nocy. Trzymała przy piersi dziecko, które łapczywie ją ssało. Rozchylił mocniej kotarę, baronowa dostrzegła króla i pierwsza się ukłoniła. Damy podążyły za jej spojrzeniem.

Król wszedł sprężystym krokiem. Naraz pochwycił wzrok Bony. W jej źrenicach błysnął niepokój, który tak bardzo pragnęła ukryć. Szukała w jego oczach niechęci, wstrętu i obrzydzenia. Od kilku miesięcy nie był z żadną kobietą. Czekał na poród, zapewniał, że poczeka, aż minie połóg. Będzie cierpliwy. Czy nadal jest pewien swojej miłości do niej? Czy gotów

jest na takie poświęcenie? Zbliżył się i pocałował ją w czoło. Poczuła ciepło jego warg. Poglądziła jego szorstki policzek, pragnąc zatrzymać męża przy sobie dłużej. Zygmunt spojrział na tkwiące przy niej maleństwo. Bona uchwyciła jego spojrzenie i szepnęła mu do ucha:

– Zawiodłam cię.

Usiadł przy niej. Bona skinieniem odprawiła dworzan. Zostali sami.

– Jest piękna jak ty – powiedział, spoglądając na córkę.

– Nie jest chłopcem – sprostowała królowa.

– Kiedyś urodzisz syna, Bono, a nasza córka, kto wie, może poślubi króla i zostanie królową? – Uśmiechnął się.

Oblicze królowej pojaśniało. Nie pomyślała o tym, a przecież córka może stać się podporą dynastii. Nagle coś zatruło tę radość.

– Ma dwie starsze siostry, więc jest trzecia w kolejce do zamążpójścia – oświadczyła.

– Trzecia – zgodził się – ale może to właśnie jej przypadną największe zaszczyty, więc nie martw się na zapas i wyznacz kogoś, kto pojedzie do Bari.

– To nie jest nowina, której moja matka wyczekuje z niecierpliwością – odparła.

– A jeśli królową nazwiemy imieniem babki?

Bona ożywiła się:

– To powinno trochę osłodzić jej rozczarowanie.

Tymczasem mała Izabela zasnęła przy piersi matki. Także Bona poczuła zmęczenie i senność. Król dostrzegł to, podniósł się i powiedział do żony:

– Odpocznij, musisz nabrać sił.

– Tak – zgodziła się. – Ale obiecaj, że jutro razem spędzimy dzień.

– Jutro polujemy.

Posmutniała. Pozazdrościła mu bezkresnych ośnieżonych lasów, śniegu skrzypiącego pod stopami, wiatru smagającego twarz. Jakże dawno nie była w puszczy, nie goniła za zwierzyną.

– Kto z tobą jedzie? – spytała, kryjąc niepokój pod uśmiechem.

– Jak zwykle, pan Górka. Kmita...

– Szydłowiecki? – spytała.

– Tak.

O nic więcej nie musiała pytać. Od kiedy na dobre zaczął rosnać jej brzuch, kanclerz zajął jej miejsce przy królu podczas konnych przejażdżek i polowań. Musi to przełknąć. Kilka tygodni minie szybko, a wtedy ona da królowi to, czego nie da mu żaden przyjaciel, żaden mężczyzna, pocieszała się.

Król ucałował żonę i odszedł. Bona poruszyła dzwonkiem. Weszła Ivetta.

– Zabierz Izabelę – powiedziała królowa.

Baronowa się uśmiechnęła. W mig pojęła, że wybrano imię dla królowej. Pochyliła się i ostrożnie wzięła śpiące dziecko z matczynych ramion.

– Jutro Landolfo pojedzie do Bari z nowiną o narodzinach Izabeli. Niech przekaże mojej matce, by przysłała mi astrologa.

– Na Wawelu jest astrolog króla, Baltazar – zauważyła baronowa.

– Właśnie, astrolog króla. Ja chcę mieć własnego – postanowiła.

Nastał luty. Wieczór był mroźny, z lodowatym wichrem. Bona nerwowo przemierzała komnatę, rozcierała skostniałe z zimna dłonie i spoglądała w okno na pogrążający się w mroku dziedziniec. Wypatrywała powrotu

króla. Zygmunt popołudniem wybrał się na konną przejażdżkę za miasto. Obiecał, że wieczorem ją odwiedzi. Przygotowała się na to spotkanie. Kazała nakryć stół, przyrządzić gorące potrawy. Król wróci głodny, zmarznięty. Pogawędzą przy wieczerzy, a potem razem spędzą noc. Skropiła jedwabną pościel jaśminowym olejkiem, który napełnił komnatę zmysłowym aromatem. Tak długo czekała na ten wieczór, na tę chwilę, gdy po połogu znowu poczuje rozkosz bycia z mężczyzną. Nieobecność króla się przeciągała i Bona zaczęła odczuwać niepokój. Dlaczego mimo późnej pory nie wraca? Znowu zerknęła w okno. Zaczął sypać śnieg. Nagle dobiegł ją stukot końskich kopyt i poderwał serce do szybszego bicia. Podbiegła do okna, przykleiła czoło do szyby i wytężyła wzrok. Sylwetki konnych zamajaczyły na pobielającym od śniegu dziedzińcu. W blasku pochodni ujrziała Zygmunta. Nie minął kwadrans, gdy się zjawił. Wniósł ze sobą zimowy chłód. Strzepnął śnieg z ramion, zdjął kapelusz i rzucił na pobliski zydel. Potem omiótł żonę bacznym spojrzeniem, po czym bezceremonialnie chwycił ją wpół i pocałował w usta.

– Przejażdżka się udała? – spytała z uśmiechem.

– Owszem.

– Na pewno jesteś głodny... i spragniony, panie – rzekła, wysuwając się z jego objęć. Pomogła mu zdjąć szubę podbitą sobolowym futrem.

– Mam inne pragnienia, Bono – odparł i spojrzał na nią pożądliwym wzrokiem.

Uśmiechnęła się i podeszła do stołu. Odsunęła krzesło, by usiadł.

– Najpierw coś zjedz – zaproponowała i napełniła kielich winem.

Spełnił jej rozkaz ochoczo, bowiem był głodny. Właśnie sięgał po puchar z winem, gdy zapukano do drzwi. Przyszła baronowa z nowiną, że przybył goniec z Watykanu do króla. Zygmunt kazał go wprowadzić

i odebrał list. Bona odprawiła damę, nakazując, by dała gońcowi kąt do spania i jadło, po czym wbiła wzrok w małżonka. Czytał w skupieniu.

Pilnie obserwowała męża, ciekawa nowin. Ujrzała w jego oczach nagłe rozbawienie.

– Od kogo ten list? – przerwała milczenie.

– Od Hieronima Łaskiego.

– Co pisze?

– Nie uwierzysz – odrzekł król wyraźnie rozbawiony.

– Uwierzę – zapewniła z powagą. – Wszystko, co tam jest napisane, musi być prawdą.

– Musi? – zdziwił się.

– Tak. Nie sędzę, by krewniak prymasa łgał.

– Otóż papież gotów jest poprzeć moją kandydaturę na cesarza, jeśli tylko zgodzę się kandydować.

W źrenicach Bony zapaliły się płomienie. W milczeniu zbliżyła się do króla, dołała mu wina i spytała:

– Co ty na to?

– Papież nie ma prawa głosu.

– Ale ma złoto. Może kupić głosy – odparła.

Król sięgnął po czarę z winem i upił łyk. Po chwili poczuł na ramionach delikatne dłonie małżonki.

– Zgadłaś. Łaski pisze, że Medyceusz gotów słono zapłacić za moją głowę – powiedział, odstawiając czarę.

– Ile?

– Dwieście tysięcy złotych dukatów.

– Masz w papieżu największego sojusznika – rzekła z uznaniem.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Jagiellonowie nie są gorsi od Habsburgów. Należy wykorzystać okazję – rzekła, a w jej głosie nie zadźwięczała ani jedna fałszywa nuta. Mówiła to z taką powagą, że oblicze Zygmunta również spoważniało.

– Nie. Nie będę kandydował – oświadczył stanowczo.

Zsunęła dłonie z jego ramion i podeszła do kominka, w którym buchał ogień. Jej spokój był pozorny, ale każdy nerw drgał szarpany emocjami, podsycany obrazami z przeszłości.

– Skoro to nie ty zasiądziesz na cesarskim tronie, niech to będzie ktokolwiek, tylko nie Habsburg – odezwała się.

Zaległa cisza, w której słyszał jej nierówny oddech.

– Jest w twoim sercu jakiś cierń, pani – powiedział, przypatrując się jej, ale widział tylko jej plecy. Odwrócona tyłem, kryła przed nim twarz. Gdyby spojrział w jej oczy, znalazłby w nich gniew gaszony smutkiem, gniew, który jeszcze trzymała na wodzy.

– Habsburgowie okradli Aragonów z Królestwa Neapolu – rzekła po chwili. – Maksymilian do śmierci zwlekał z oddaniem dóbr, które moja matka odziedziczyła po królowej Joannie. I teraz, jeśli Karol zostanie cesarzem, jeszcze długo będziemy czekać na ratę mojego posagu.

Poczuła delikatny dotyk dłoni króla na swoich ramionach, jakby małżonek chciał ją pocieszyć. Zatopił twarz w jej włosach. Poczuła ciepło i troskę bijące od niego. Odwrócił ją w swoją stronę, a wtedy dostrzegł łzy bezgłośnie spływające po policzkach. Tak bardzo pragnęła powstrzymać bolesne wspomnienia, lecz one odżyły na nowo.

– Nie wiesz, panie, co znaczą lęk i tułaczka, ciągła ucieczka i strach przed rozłąką z matką. Moje dzieciństwo zostało napiętnowane obrazami wojen, okrucieństwa i śmierci. Dopiero tutaj, u twojego boku, poczułam się bezpieczna. I dlatego nie pozwolę, by Habsburgowie nas zniszczyli – powiedziała.

– Dobrze, Bono – rzekł, poruszony jej wyznaniem. – Jeśli wolą Boga jest, abym nie wygrał, to zrobię wszystko, by Karol przegrał.

Po tygodniu Bona dostała list z Ferrary. Stała przy oknie w świetle gasnącego dnia i czytała. Pogłębiająca się szarość powodowała, że litery nie były wyraźnie, więc kazała Urszuli Maciejowskiej, która weszła tu za nią, zapalić świece. Po chwili pokój zaczął jaśnieć od światła, a od korytarza dały się słyszeć radosne głosy i śmiech dam dworu. Gdy drzwi otworzyły się szerzej, Bona ujrzała baronową Militello oraz panią Trotti, która niedawno przybyła z Bari, by opiekować się małą Izabelą. Lukrecja i Diana niosły czyste ręczniki i pościel.

Ivetta, widząc w rękach królowej list, spytała:

– Jakie wieści z Bari, wasza wysokość?

– To od księżnej Lukrecji Borgii. Przysyła Izabeli brokatową pościel do kołyski i... pisze, że jest brzemienna. – Bona posłała Ivetcie radosne spojrzenie.

Baronowa, zaskoczona nowiną, otworzyła szeroko oczy i spytała:

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

TABLICA POTOMKÓW SFORZÓW I JAGIELLONÓW

ROZDZIAŁ 1. ZŁOTE KRÓLESTWO

ROZDZIAŁ 2. TRUDNE ROZSTANIA

ROZDZIAŁ 3. MIŁOŚĆ POGRZEBANA W BARI

ROZDZIAŁ 4. CÓRKI NIE SĄ DAREM NIEBIOS